

MARTA KRAJEWSKA

WILCZA DOLINA TOM I

IDŹ I CZEKAJ MROZÓW



MARTA KRAJEWSKA

IDŹ I CZEKAJ MROZÓW

WILCZA DOLINA, TOM I



[Kup książkę](#)



PROLOG

– Wilcza Dolina – wyrzeźbił starzec. – Nie jedźcie dalej...

Zakrztusił się krwią, wyprężył nagle jak struna. Jęknął przeciągle, wstrząsany przedśmiertnymi drgawkami, i martwymi oczyma zapatrzył się w czubki drzew.

Pięknie ubrana kobieta, która nachylała się, by usłyszeć jego słowa, trwała chwilę nad ciałem, jakby oczekiwała, że starzec jeszcze przemówi. Przesunęła dłonią po jego twarzy, zamykając na zawsze martwe oczy. Potem podniosła się z klęczek i wygładziła krwistoczerwoną suknię.

Górski las spowijała wieczorna mgła. Za plecami podróżniczki dwa konie niecierpliwie przestępowały z nogi na nogę. Były zmęczone, bo jeźdźcy błakali się wśród drzew od rana.

– Co powiedział? – spytał zbrojny mężczyzna, pochylając się w siodle. – Którędy na trakt?

Jego towarzyszka odwróciła się powoli, zamyślona. Poprawiła lutnię przytroczoną do kulbaki.

– Nie zdążyłam zapytać. Musimy tu przenocować, pochować go. Ale jesteśmy już blisko, ten człowiek to opiekun. Mówiłam ci o nim – zawiesiła głos i raz jeszcze spojrzała na starca. Po śmierci twarz mężczyzny jakby złagodniała. Jej wyraz

kontrastował z widokiem zmasakrowanego ciała i faktem, że prawe ramię zostało oderwane od korpusu.

A cokolwiek je oderwało, najwyraźniej zabrało swą zdobycz ze sobą.



ROZDZIAŁ I

PRAWO MĘŻÓW I OJCÓW

Córka zielarza biegła przez las, lawirując między sosnami. Miała zacięty wyraz twarzy i rozwiane w pędzie ciemne włosy. Uwagę skupiała na omijaniu korzeni i ukrytych pod liśćmi dziur w poszyciu. Do przodu, sądząc po wyrazie oczu, pchała ją wściekłość.

Jak strzała wypadła na polanę, rozgarniając w biegu gałęzie krzaków, porastających skraj lasu. Wybiła się mocno, przesadzając wielkim susem wygrzewające się w słońku ostrężyny. Zahaczyła stopą o jedną z tegorocznych witek, straciła równowagę i z krótkim piskiem runęła w trawę.

– Na demony Welesa! – krzyknęła, wstając energicznie.

– Muuu-uu!! – odpowiedziała jej krowa, zdziwiona niespodziewanym pojawieniem się właścicielki.

Zaaferowana otrzepywaniem sukienki panna zatrzymała się w pół ruchu, wyprostowała nagle i sprężystym krokiem pomaszerowała w stronę zwierzęcia, które wciąż gapiło się na nią bez śladu zrozumienia.

– Ty zaraz! – wrzasnęła dziewczyna, a zdziwiona krowa zamarła w bezruchu. – Własnymi rękami urwę ci ten rogiaty łeb... – Wyhamowała nagle, ponieważ zauważyła kobietę

i dziewczynkę, siedzące w trawie nieopodal – ...krowo jedna – dokończyła niemrawo. – Witajcie, pani Wiljo.

Kobieta skinęła nieznacznie głową, najwyraźniej starając się nie parsknąć śmiechem.

– Witaj, Vendo – przywitała się.

Odnaczała się tym typem urody, który sprawiał, że właściwie nie znać było po niej upływu czasu. Odkąd Venda pamiętała, Wiljo zawsze wyglądała tak samo ślicznie, a ciąża, poród i trudne życie w górach nie zniszczyły jej figury. Długo do pasa, kruczoczarne włosy opadały na ramiona prostymi, ciężkimi pasmami i atramentowo lśniły w słońcu. W czarnych oczach migały wesołe iskierki.

Venda poczuła się jak ogromny, niezgrabny klocek z potarganymi włosami i twarzą zaczerwienioną z wysiłku. Była też absolutnie pewna, że Wiljo nigdy, ale to przenigdy nie ganiała krowy po lesie i nie wylądowała w ostrężynach. A już na pewno nie przy świadkach.

– Tak myślałam, że w końcu przyjdiesz. – Kobieta uśmiechnęła się, ruchem głowy wskazując krowę. – Znowu ucieka?

Dziewczyna skinęła głową, przysiadła na trawie.

– Wypadałoby ciągle jej pilnować – burknęła marudnie. – No ale jak? Ja mam tyle do zrobienia, a opiekun ciągle albo załatwia jakieś straszliwie ważne sprawy, albo ludzi leczy. Łatwiej by ją było dzieciakom oddać do pasienia, ale opiekun się uparł, że nie, i choćbym nie wiem co do niego gadała, to zdania nie zmieni. Tylko ciągle słyszę, że za górami wszystkie krowy się na postronkach pasą i jakoś nie uciekają. Zresztą, opiekun wie lepiej, szkoda strzępić języka!

Wiljo uśmiechnęła się czule do córeczki. Płomyk miała niecałe pięć lat i w porównaniu z matką wyglądała jak

nieporozumienie. Ruda, piegowata, niezdarna, kropka w kropkę podobna do mało urodziwego ojca. Wiljo kochała dziecko ponad wszystko na świecie, lecz ostatnio głównie się o nie bała. Nawet teraz przez jej głowę przemykały miliony myśli i obaw. Postanowiła zwrócić uwagę w inną stronę.

– Dopiekł ci opiekun, co?

Venda zawsze robiła się gadatliwa, gdy coś ją bardzo wzburzyło. Tym razem jednak uśmiechnęła się tylko krzywo pod nosem.

– Oj tak – mruknęła. – Dopiekł mi. Bardzo mi dopiekł... Ale wiecie, nie pierwszy i pewnie nie ostatni to raz. – Uśmiechnęła się niemrawo.

– Prawo mężów i ojców.

Venda burknęła coś niewyraźnie, nie chcąc dalej narzekać na ojca. Nosiło ją z nerwów. Podparła się na łokciach i zapatrzyła przed siebie.

Łąka tonęła w promieniach wiosennego słońca. Z trzech stron otaczał ją las, tworząc zacisze wypełnione świergotem ptaków. Najpiękniejszym elementem krajobrazu było jezioro, odgrodzone od łąki jedynie poszarpaną wstążką trzciny. Migotało zachęcająco słonecznymi iskierkami, ale tam, dokąd zapraszało, kryły się wiry i zdradzieckie głębiny, gotowe zamienić niewinną zabawę w walkę o życie. Ludzie mawiali, że w noc przesilenia tu właśnie wychodzą na brzeg rusalki, wodniki, utopce i inne magiczne stworzenia, by tańczyć przy świetle księżyca. I biada temu, kto im w takiej zabawie przeszkodzi.

Przez chwilę słyszeć było tylko ptasie popisy.

– No cóż. Szkoda gadać – stwierdziła w końcu młoda zielarka. – Zabieram to skaranie – wskazała krowę ruchem

głowy – i wracam do siebie, zanim powyżera wam najpiękniejszą trawę. Chodź, ty... krowo – burknęła, szarpiąc sznur nieco mocniej, niż było to konieczne.

Płomyk zrobiła grzecznie kroczek do tyłu, kiedy zwierzę ruszyło powoli z miejsca. Venda uśmiechnęła się do dziewczynki przyjaźnie i puściła do niej oko.

I nagle poczuła dokuczliwe pulsowanie w skroni. Zaszumiało jej w uszach, zmrużyła oczy i skrzywiła się z bólu.

Czas zwolnił, jakby kamień utknął w trybach maszyny świata. Wiatr przestał szumieć w koronach drzew. Ptaki umilkły w połowie trełu. Rozgrzane powietrze przestało drgać. Zapanała nie tyle cisza, co kompletny brak jakiegokolwiek dźwięku.

I w tej jednej dziwnej chwili zielarka widziała tylko twarz małej dziewczynki, która stała po kolana w trawie, z burzą rudych loków wokół twarzy, i nienaturalnie czarnymi oczyma wpatrywała się w Vendę.

– To sowa ją przestraszyła – powiedziała dziewczynka nieswoim, dorosłym głosem. – Jeśli wejdiesz, wilk nie będzie mógł cię uratować.

Vendzie piszczalo w uszach, skroń pulsowała boleśnie.

– C...co? – zająknęła się.

Wszystko znów ruszyło z miejsca.

Zaszumiały drzewa, zaśpiewały ptaki, krowa postąpiła kolejny krok naprzód, pasikoniki zagrały w trawie.

Dziewczyna zamrugła, zdziwiona. Przywidzenie? Wtedy spostrzegła, że oczy Płomyk, stojącej po kolana w trawie, z burzą rudych loków wokół twarzy, są na powrót błękitne jak letnie niebo.

– Och, ojej... mamusiu?! – Dziecko zachwiało się, przysiadło przestraszone.

Z nosa małej pociekła cieniutką strużką krew. Wiljo natychmiast przypadła do córeczki i zaczęła wycierać ją chusteczką, próbując ukryć zdenerwowanie i strach pod uspokajającymi słowami. Venda patrzyła na to zdezorientowana. I przerażona.

Przełknęła głośno ślinę i w końcu zadała typowe, tępe pytanie:

– Co...?

– Och, to nic takiego! – Kobieta machnęła beztrąsko ręką. – Ostatnio jej się to zdarza. Ot, troszkę krwi. Widocznie Płomyczek ma jej za dużo jak na taką małą dziewczynkę. – Uśmiechnęła się czule, objęła pulchne ramionka dziecka. – Już lepiej, maleństwo? Oj, nie kręć głową, bo... no widzisz, leci.

Dziewczynka posłusznie odchyliła się do tyłu, nie odrywając oczu od twarzy matki.

Venda patrzyła na nie, ale ciągle nie mogła sobie poukładać w głowie tego, co właśnie się stało.

– Już wcześniej tak mówiła? – upewniła się. Korzystając z okazji, krowa delikatnie wyszarpnęła powróż z jej dłoni i oddaliła się dystyngowanym krokiem.

Wiljo podniosła na zielarkę rozkojarzony wzrok.

– Co mówiła? „Mamusi”? Oczywiście, ciągle tak mówi. A czemu...?

– Nie, nie to! – przerwała jej Venda niecierpliwie. – O wilku i sowie, i... – urwała, bo napotkała mur niezrozumienia. – No... takie dziwne rzeczy...

Zamilkła. Nagle poczuła się jak wariatka. A przynajmniej popatrzyła na siebie oczami Wiljo i zobaczyła wariatkę. Zresztą sama już nie była pewna, czy przed chwilą cokolwiek się stało, czy tylko małej pociekła z nosa krew, a jej samej coś się przywidziało.

– No to... ja już pójdę wreszcie – stwierdziła słabo, wpa-
trując się w Płomyk. Mała przyciskała chusteczkę matki do
nosa i oddychała otwartymi ustami. Poza tym nie wygląda-
ła dziwniej niż zwykle.

Zielarka odwróciła się powoli i poszła po krowę. Kiedy
podnosiła powróż z ziemi, uderzył ją w czoło ból, od którego
czerwone plamki zawirowały jej przed oczami, a w uszach za-
szumiało.

– Głowa mnie boli, mam – usłyszała za plecami dziecięcy
głos i znów na chwilę poczuła, że coś jest nie tak, jak powin-
no. Obejrzała się na dwie postacie siedzące w trawie i z dziw-
nym lękiem w sercu ruszyła do domu.



Obserwowali je zza drzew. Widzieli, jak zadumana dziewczyna
odchodzi, ciągnąc za sobą krowę. Patrzyli, jak młoda matka
ściera ostatnie ślady krwi z buzi małej. Jak dziewczynka odsu-
wa rękę kobiety, chce wstać, ale znów opada na trawę. Jak mat-
ka strofuje ją, próbując nadać głosowi odrobinę stanowczości.

Starucha uśmiechnęła się do siebie pod zakrzywionym no-
sem, a jej twarz pokryła się siecią drobnych zmarszczek. Prze-
żuła do końca to, co miała w bezzębnych ustach, po czym
z wprawą splunęła w bok. Postawny mężczyzna, górujący nad
starą niczym olbrzym, nawet nie zwrócił uwagi na brunatną
kulkę, która prawie trafiła go w stopę.

Oboje stali skupieni, wpatrzeni w scenę na polance. Zasty-
gli w oczekiwaniu. Mężczyzna o wilczych oczach, zrośniętych
brwiami i zaciętej twarzy osmaganej wiatrem, podobny bar-
dziej do leśnej bestii niż do człowieka. I przygarbiona starucha,

sięgająca mu ledwie do pasa, otoczona zapachem ziół i aurą bezgranicznej, niewyczerpanej złośliwości.

Stali i patrzyli.

Patrzyli i czekali.



Ścieżka wiła się między drzewami w głąb wiosennego lasu, między sosny i świerki o świeżych, zielonych pędach, między paprocie i jagodowe krzewy, aż do starej kapliczki, stojącej pod jeszcze starszym, wybuchałym dębem o konarach skręconych czasem.

Ptaki ćwierkały wesoło, dąb szumiał cicho.

Atra chłonęła ten piękny dzień, tę cudowną chwilę, całą sobą. Całym swoim siedemnastoletnim, kształtnym i gibkim ciałem. Kocie spojrzenie prześlizgiwało się po okolicy, nie zatrzymując się na żadnym detalu. Złote loki błyszczały rozrzucone na trawie, łapiąc promienie słońca w miedziane refleksy. Kągłe, młode pierś wznosiły się i opadały w rytm podnieconego oddechu. Smukłe uda, wyzwolone z niewoli ciężkich spódnic, oplatały chciwie wąskie, na wpół realne biodra kochanka. Dłonie błędziły niecierpliwie po jego plecach, drapały delikatnie chłodną, spoconą skórę.

Gdy mocno, wręcz brutalnie zassał różowy sutek, jęknęła, zachłysłnęła się leśnym powietrzem. Ściskając mocniej udami zimne biodra, wyprężyła się, kiedy nagle nadeszła spodziewana od dawna fala rozkoszy. Z wilgotnych, półotwartych ust wydobył się jęk, Atra przymknęła oczy i dała się ponieść. Przez feerię złota pod powiekami czuła, jak on ją dogania, jak wpija się boleśnie i rozkosznie w jej pierś. Zatopiła palce w kruczey czuprynie i przycisnęła go do siebie jeszcze mocniej. Całą sobą.

Mocniej. Chciwiej.

Złote błyski mijały powoli, przyspieszone oddechy uspokajały się, dzikość zmieniała się w spokojne kołysanie.

Atra uśmiechnęła się, na powrót słysząc, jak ćwierkają ptaki, a stary dąb szumi kojąco.

Poczuła, że znów jest sama. Jak zwykle, bez zbędnych czułości, jej towarzysz odszedł bez pożegnania. Jak przez mgłę usłyszała kroki. Nie oddalały się, lecz zbliżały szybko, zdecydowanie. Poprawiła na sobie ubranie.

– Atra, jak zwykle! – cierpki głos wytrącił ją z błogostanu. – No, wiedziałem, że tu będziesz. Chodź, twój ojciec chce z tobą porozmawiać. Zdaje się, że to coś poważnego.

Otworzyła oczy i przeciągnęła się niespiesznie. Wyciągnęła kilka szpilek z bujnej czupryny, ziewnęła słodko.

Jej sąsiad, młody Irke, syn bartnika, podparł się pod boki, mierząc ją z góry krytycznym spojrzeniem. W końcu westchnął, pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Ja nie wiem, co cię tu tak zawsze ciągnie.

Wzruszyła ramionami z niewinnym uśmiechem.

– Lubię się tu zdrzemnąć, tak jakoś... – odparła.

Nikt nie wiedział, że spętani okowami grobowców wyklęci odwiedzali ją w snach.

Chłopak prychnął w odpowiedzi, rozejrzał się niepewnie.

– Zdrzemnąć, jasne. Pełen spokój...

Uraczyła go słodkim uśmiechem i łaskawie wstała, a od niedawnej zabawy zakręciło się jej w głowie. Irke zmierzył ją pełnym niedowierzania wzrokiem.

– Nie ma to jak drzemka u bram Cmentarza Wyklętych – powtórzył. – Świetne miejsce, Atra.

Dziewczyna posłała powłóczyście spojrzenie krzywemu, zapadniętemu nagrobkowi, który stał nieopodal w trawie. Poprawiła sukienkę, opadającą z ramienia.

– Najlepsze... – mruknęła tajemniczo i przeciągnęła się niczym kotka.



Sercem doliny było jezioro, które tworzyły dwa spotykające się tu strumienie. W lustrzanej tafli przeglądały się drewniane chatki o krytych strzechą dachach. Przycupnęły na brzegu, niskie, w większości pozbawione okien. Zdobiły je jedynie zielone ogródki, z wolna zieleniejące po zimie. Biały dym unosił się z otworów w dachach. W małych gospodarstwach gdakały kury, muczały cenne jak złoto krowy i woły. Kilka świń szukało odpadków pomiędzy zabudowaniami, otoczonymi plecionymi płótkami. Wioska trwała tak od setek lat, wtulona w górską dolinę, zapomniana przez świat.

Choć nie zawsze było tu tak spokojnie.

Na wzniesieniu rysowały się ruiny starego zamczyska. Ich ciemne, milczące kontury odcinały się na tle nieba. I jeśli ktoś spoglądał na nie wracając z pola czy też spiesząc do gospody na kufelek czegoś krzepiącego, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że zamczysko śledzi każdy jego ruch.

I, jak za dawnych czasów, czyha na ofiarę.

Dni mijały leniwie, a życie górali toczyło się powolnym, ustalonym od lat rytmem. Ale w nocy... w nocy sytuacja się zmieniała. To, co w świetle dnia umykało przed ludźmi, nie pozwalając nawet się dostrzec, po zachodzie słońca nabierało siły i ruszało na polowanie. Noc nie należała do ludzi i mieszkańcy Wilczej Doliny wiedzieli o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Ruiny zamku na skalnej półce budziły wspomnienia niedawnych jeszcze czasów. A jeśli jakiś młodziak ich nie pamiętał, jeśli nie wierzył w opowieści... Cóż, szukano go potem

długo i wytrwale. Za dnia. I czasem, co gorsza, znajdowano. A wtedy znów nocami zamykano szczelniej drzwi.

W Wilczej Dolinie, u stóp starego zamczyska, wspomiano wtedy niedawnych panów i wzdychano z ulgą, że to już przeszłość.

Kiedy słońce mocno pochyliło się ku zachodowi, a większość prac polowych przełożono na kolejny dzień, w gospodzie zebrało się kilkunastu mężczyzn. Gdy wychodzili z chat, ich kobiety krzątały się w obejściach, usypiały dzieciaki lub łątały portki – i odprowadzały ich spojrzeniami pełnymi napięcia i oczekiwania. Gdyby chciały, też mogłyby pójść do karczmy, decydować o losie osady i przekrzykiwać się w dyskusjach. Zazwyczaj zresztą tak robiły i często to one krzyczały najgłośniej. Ale dziś mało która chciała się wybrać z mężem. Nie tego wieczora.

Zebrali się przy długiej ławie w rogu, na niewielkim podwyższeniu dla grajków, które już od dawna nie słyszało dobrej muzyki. Gospodarz Jart polał przybyłym piwa i miodu. Potem stanął obok, oparł się ramieniem o słup i założył ręce na piersi. Jego syn Imir wycierał kufle, starając się łowić każde słowo dyskusji. Nie był żonaty, więc nie wolno mu było brać w niej udziału, ale jako że pracował w karczmie, nie mogli go też ot tak odpędzić, jak innych młodzików.

– Minęły trzy dni i nic, żadnych zmian – oznajmił grobowym głosem wąsaty mężczyzna o ziemistej twarzy, smutnej i porytej głębokimi bruzdami.

Pozostali odetchnęli z ulgą, aż delikatny szum dotarł do uszu Imira, stojącego przy kontuarze.

– Więc może to jednak niedźwiedź? – rzucił ktoś niepewnie. Zignorowano go.

– Odstąpcie już od mojego syna. – Smutny chłop przesunął wzrokiem po zebranych, między którymi siedział. – Nie był

to może mądry chłopak, ale nic złego nam nie zrobi. Jemu już teraz do ziemi trzeba.

Kilka osób smętnie pokiwało głowami. Część przyznała strapienemu ojcu rację, ale kilku wciąż nie pozbyło się obaw. Ci albo patrzyli w stół, albo wiercili się na krzesłach.

– Myślę, że możemy przestać pilnować zwłok – rzekł w końcu Kostjan, rudy mąż Wiljo, właściciel najlepiej utrzymanego gospodarstwa w wiosce. – Trzy dni chyba wystarczą. Niedługo zacznie... – chciał dodać „śmierdzieć”, ale urwał pod dumnym i pełnym bólesci spojrzeniem ojca zabitego chłopaka. – Niedługo rusalia – rzekł zamiast tego. – Trzeba tę sprawę zakończyć przed zabawą.

Znów poczuł, że nie zabrzmiało to zbyt taktownie.

– W porządku, trzy dni! – zakrzyknął naraz kowal, wielki, brodaty chłop, siedzący w końcu stołu. – Ale pełnia dopiero dzisiaj będzie!

– Najlepiej od razu osikowym kołkiem serce przebić, a nie czekać! – zapalił się chudy jegomość, po czym zakasłał w chustkę, omal nie wypływając płuc.

Ojciec martwego zmrużył oczy, poczerwieniał na twarzy.

– Żadnych kołków, Stojan! – Rąbnął pięścią w ławę. – Dopóki nie będzie pewne, że Winne z martwych wstaje, nikt mi chłopaka nie będzie dźgał, jak potwora jakiegoś z Cmentarza Wyklętych! – wspomniawszy tę nazwę, splunął na podłogę ze wstrętem.

– To lepiej czekać, aż w jakiego wąpierza nam się zamieni i pana ojczulka jako pierwszego rozszarpie, tak?! – wrzasnął Stojan. Z nerwów znów zakaszał w chusteczkę.

– Ciebie mu podeślemy, ty trupie chodzący! Tobie już i tak wiele życia nie zostało, ale najpierwszy jesteś do osinowania i ćwiartowania innych, ty... – Wąsacz poderwał się z ławy, ale

siedzący obok Kostjan chwycił go za ramię żelaznym uściskiem.

– Siadaj, Tinne. Nie będzie żadnego dżgania kołkami. Ale kował ma rację, jeszcze tę pełnię powinniśmy przeczekać.

Bykowaty chłop, siedzący na końcu stołu, skinął nieznacznie głową.

– Na co tu czekać? – obruszył się żałobnik, wyrывая ramię i siadając na powrót. – Trzy dni i trzy noce chłopaka w izbie trzymamy, straż przy nim pełnimy, ziołami okadzamy. Nie wstaje. Koniec. Martwy jest jak ta kłoda – próbował złością pokryć rozpacz.

– Tinne, zrozumie nas – do rozmowy włączył się młody chłopak, ledwie po ożenku. Usilnie starał się zapuścić wąs, ale póki co wyglądało to raczej komicznie. I tylko głos miał ciepły, kojący. – Mała z nas wioska, na siebie tylko liczyć możemy. Rozumiem twój żal po jedynym synu, ale sam wiesz, że to, co musimy zrobić teraz, zawsze robimy. Nie wiemy, co go zabiło, ale zabiło go strasznie. A my mamy rodziny, moja Larsa ma dopiero pół roku, o niej myśleć muszę. Jedna noc jeszcze i pochowamy go, spokojni, że wszyscy jesteśmy bezpieczni. Zrozum.

Łagodna mowa uspokoiła nieco rozżalonego ojca.

Na chwilę zapadło milczenie. Czekali na zgodę Tinnego. Mężczyzna z nieodgadnionym wyrazem twarzy wpatrywał się w swój nieruszony kufel z miodem. Nawet Stojan próbował powstrzymać uporczywy, krwawy kaszel.

– Trzymamy Winnego ni to w świecie żywych, ni to umarłych trzeci dzień, trzecią noc – mruknął w końcu ojciec zabitego chłopaka. Podniósł wzrok, popatrzył w czekoladowe oczy

po przeciwnej stronie stołu. – A to mógł być zwykły niedźwiedź. Spróbuj zrozumieć, Larse. Ja chcę pochować syna.

Zgromadzeni wypuścili powietrze z płuc. Imir, stojąc za barem, zdał sobie sprawę, że też wstrzymywał oddech, pewien rychłej zgody ojca Winnego.

– Tinne, gniewasz się na nas bez powodu. – Młody Larse pochylił się do przodu, splótł palce, opierając całe przedramiona na stole, jakby chciał znaleźć się bliżej rozmówcy. – Też wolelibyśmy pochować chłopaka jak trzeba, nie robimy ci przecież na złość, boś dobry sąsiad i szanowany gospodarz. Ale niedźwiedzia można rozpoznać po kłach, po pazurach, po zostawionej sierści. Opiekun zna się na takich sprawach. A nie był pewien. Wiesz dobrze, że sam kazał chłopaka pilnować. Jeśli zaś już opiekun nie wie, co to za zwierzę...

– No właśnie, a gdzie opiekun? – mruknął głębokim basem kował, wpadając młodemu w zdanie. Wszyscy strapili się nagle, odruchowo oglądając po sąsiadach.

– Nie było go dzisiaj – ze swego miejsca przy słupie po raz pierwszy wtrącił się Jart. – Od wczoraj go nie było.

– Musimy poczekać, co powie. – Stojan z przejęcia wybałuszył swoje wodniste oczy. – Nie możemy tak przecież bez niego...!

– To dziwne, że nie przyszedł. – Kostjan zmarszczył brwi.

– Nie przyszedł, to już nie przyjdzie – zawyrokował kował. Powszechnie było wiadomo, że jako jeden z nielicznych nie uznawał nieomyślności opiekuna we wszelkich sprawach. – Musimy sami zdecydować.

I wszyscy znów spojrzeli na Tinnego.

A Tinne wpatrywał się w kufel pełen miodu, bawił się nim, kręcił po dębowym blacie.

– Tinne? – łagodnie ponaglił go Larse.

Ojciec martwego chłopaka westchnął w końcu, a szeroka klatka piersiowa i zaczątek piwnego brzuszka podniosły się i opadły ciężko.

– Jedna noc – wyartykułował dobitnie, podnosząc oczy na Larsego, choć nie był on przywódcą grupy bardziej niż ktokolwiek inny. – Jedna noc. Dzisiejsza pełnia i koniec. A potem, klęę się na Welesa, że ten, kto mi stanie na drodze do cmentarza, wróci do baby bez zębów.



Venda stała przy oknie od dłuższej chwili, nie mogąc się zdecydować na zamknięcie okiennic. Wciąż wypatrywała opiekuna.

Zamyśliła się i zaczęła nerwowo kręcić w palcach kosmyk włosów. Im później się robiło, tym bardziej niewiarygodne historie przychodziły jej do głowy, a strach zaczynał chwytać za serce. Znów wspomniała widzianą wczoraj spadającą gwiazdę, znak, że czyjeś życie dobiega końca.

– Miau...? – swoje nadejście zasygnalizował oburzony kot, który przespał pół dnia, a po przebudzeniu, niezadowolony, zastał miseczkę pustą.

Dziewczyna wzięła zwierzaka na ręce. Nie zdążył jeszcze schudnąć po zimie, był miękki i cieputki.

– No i co? – westchnęła, drapiąc go za poszarpanym w bokach uchem. – Nie wraca ten nasz opiekun i nie wraca...

Żałowała, że wczoraj pokłócili się o błahostkę.



Kiedy poprzedniego popołudnia weszła do chaty, siedział jak zawsze przy stoliku pod oknem, pochylając się nad grubą księgą i pisząc coś powoli i starannie.

Wiele różniło chatę zielarza od tych w dolinie. Przede wszystkim nie było w niej miejsca na krowę, za to miała niewielką sień, a jedyne okno wydawało się ogromne jak na warunki panujące w wiosce. I choć na noc zamykano je drewnianymi okiennicami, a na zimę wtykano ramę z wolim pęcherzem, chłopci pukali się w czoło nad takim marnotrawieniem ciepła. Jeszcze bardziej dziwili się, gdy pod okienkiem stanął stolik. Opiekun ustawił go, by mieć więcej światła i nie wytężyć wzroku przy księgach, nad którymi spędzał czasem kilka godzin dziennie.

Teraz również tu siedział, a słysząc odgłos otwieranych drzwi, nie odwrócił się, nie przerwał pisania i nie uśmiechnął do przybranej córki.

Venda bezbłędnie rozpoznała jego nastrój. Ostatnio często taki właśnie bywał. Zasepiał się, mruczał coś pod nosem do siebie, warczał na nią, ponury i nieprzyjemny. Dolegało mu coraz więcej drobnych chorób, coraz częściej smarował się dziwnymi maściami, których nawet ona nie rozpoznawała, przyrządzał i pił mętne dekokty o odurzającym zapachu. Starzeje się, myślała dziewczyna i starała się nie zwracać uwagi na docinki, zmienne nastroje i nerwowość opiekuna. Nie odzywaj się – powtarzała sobie raz po raz – dla świętego spokoju.

Ze stukiem postawiła na podłodze wiadro z wieczornym udojem. Nie było tego może specjalnie dużo, ale dla dwóch osób i kota wystarczało z okładem.

Opiekun podniósł głowę i wpatrzył się w widok za oknem, zatopiony w rozmyślaniach. Dziewczyna przecodziła mleko,

a on wciąż tkwił w tej pozycji, z piórem uniesionym nad papierem i lekko zmrużonymi oczyma. Zerknęła nań z ukosa, potem rzuciła okiem na grubą księgę, oprawioną w czerwono-farbowaną skórę. Każdą stronę zapełniało pismo opieku-na. Znała ją – to była właśnie ta, której nigdy nie wolno jej było czytać. Zapisana w całości przez wychowawcę notatkami zawierającymi jakieś tajemne informacje i pod nieobecność dziewczyny chowana w skrytce w obejściu. Jedyna, która wzbudzała w niej tyle ciekawości i jedyna, której opiekun nigdy nie pozwolił jej obejrzeć.

W chwili, gdy chciała właśnie zerknąć na zapisywaną stronę, mężczyzna ocknął się z zamyślenia, drgnął, z głuchym trzaskiem zamknął tomiszcze, po czym zerwał się ze stołka. Nagle syknął, skulił się i usiadł z powrotem, a na jego twarzy pojawił się skurcz bólu.

Venda spokojnie nalała sobie kubek mleka i usiadła przy stole na środku izby.

– Może by z tym trzeba iść do kogoś – mruknęła.

– Do kogo niby? – Mężczyzna obdarzył ją złym spojrzeniem.

Upiła spory łyk, nim odpowiedziała:

– Do więdzmy spod skały, bo do kogóż by?

Opiekun w odpowiedzi prychnął jak żbik.

– No, pewnie, jeszcze czego...

Dokładnie takiej reakcji oczekiwała, więc nie wzburzyła się zbyt. Zbyt.

– Przecież widzę, że twoje maści i eliksiry nic nie pomagają – ciągnęła spokojnie. – To już za długo trwa, ciągle boli cię coś innego. A to brzuch, a to głowa, a to ramię. Że też ci się chce to znosić. Po co się tak męczysz?

Tymczasem mężczyzna wstał ze stołka, przesiadł się do stołu, również nalał sobie mleka i sięgnął po przykryty ściereczką chleb, stojący na środku blatu.

– Nie boli bardzo – mruknął, najwyraźniej nie chcąc drążyć tematu.

Ale Venda chciała. Tym razem już chciała i nie pozwoliła się zbyć.

– Jasne, nie boli. Chyba nie widziałeś, jak wyglądasz? Oczy zapadnięte, szary na twarzy jak wysuszona ziemia, nawet garbić się zaczęłaś. – Pokręciła głową wzorem każdej marudnej baby, rugającej upartego chłopca. – Słuchaj, nie możesz pić tyle przeciwbólowych wywarów, bo to nie leczy przyczyn, tylko uśmierza objawy. Wiesz przecież, że...

– Wiem – warknął nagle, przerywając smarowanie pajdy chleba miodem. – Wiem lepiej niż ty, smarkulo. Sam cię tego nauczyłem. Nie pyskuj.

– A ty posłuchaj, jak ci ktoś chce dla twojego dobra doradzić.

– Uważaj na słowa, dziewczko! – Zmroził ją spojrzeniem, które u większości ludzi powodowało paraliż umysłowy, a u zbyt-
nio gadatliwych natychmiastowy szczękościsk. W połączeniu z tym spojrzeniem najzwyklejsze nawet słowo, takie jak „dziewka”, mogło zabrzmieć jak najgorsza obelga.

Venda zamilkła posłusznie, naburmuszona i zła na siebie, że go posłuchała.

– A teraz idź – zarządził zimno mężczyzna. – Muszę schować księgę.

Wstał, wyraźnie dając znak, że dla niego rozmowa jest skończona.

Venda w jednej chwili poczuła się zmęczona i zupełnie zrezygnowana. Ruszyła do drzwi.

– Traktujesz mnie jak smarkulę, a nie zielarkę – bąknęła jeszcze pod nosem. – Przecież jestem dorosła, tak dużo już potrafię...

– Naprawdę? – przerwał jej. – A ciekawe, cóż takiego potrafisz? Zresztą – mruknął – i tak chowam cię do innych celów.

– Chowasz? – Krew znów uderzyła jej do głowy. – Do czego?

– Dowiesz się w swoim czasie.

Dziewczyna przewróciła oczyma.

– Dostyc mam tych twoich tajemnic i niedopowiedzeń!

– Venda, wyjdź! – ryknął nagle opiekun, odwracając się do niej z wściekłością, upodabniającą jego twarz do potwornej maski.

Dziewczyna skuliła się w sobie, choć na zewnątrz sprawiała wrażenie równie twardej jak ojciec. Wiedziała już, że przegrała. Znowu.

Obróciła się na pięcie i wymaszerowała z chaty, trzaskając drzwiami z całej siły.

Słońce zachodziło właśnie, zalewając podwórze pomarańczowym blaskiem. Dziewczyna opuściła obejście i zatrzymała się trochę dalej, na ścieżce prowadzącej w stronę wsi. Nie wolno jej było się odwrócić, dopóki przybrany ojciec nie zezwoli na to. Wpatrywała się więc w horyzont niewidzącymi oczyma, do których cisnęły się łzy żalu i złości. Kot zjawił się znikąd, zamruczał i zaczął się łąsić do jej spódnicy.

Po chwili opiekun minął ją, jakby była powietrzem. Zarzucając kapotę na plecy, bez słowa ruszył w stronę wsi. Jego wychowanki nie obchodziło dziś, gdzie i po co wychodzi. W tamtej chwili życzyła mu jak najgorzej.

Zgarnęła kota z ziemi, wtuliła twarz w miękkie, ciepłe futerko i, pociągając nosem, poszła z powrotem ku chacie.

W momencie, gdy położyła dłoń na skoblu, brunatne skrzydła załopotwały tuż nad jej głową. Skuliła się, złękciona. Ale to była tylko sowa, która jak cień oderwała się od dachu i poszybowała w ślad za odchodzącym mężczyzną.

Venda odetchnęła z ulgą i zatrzasnęła za sobą drzwi.



Nie widzieli się z ojcem całą noc i cały kolejny dzień. Opiekun nie wrócił do chaty i dziewczyna zaczynała się poważnie martwić.

Kot zamruczał, łaskawie aprobując pieszczoty. Najwyraźniej nie podzielał zdenerwowania swojej pani.

– Coś musiało się stać – powiedziała cicho. – To niemożliwe, żeby nie przyszedł. Nawet on aż tak się nie upija...

Przy ostatnich słowach postawiła zwierzę na podłodze.

– Mrr?

Ucieszony kot potruchtał do miski z wysoko uniesionym ogonem, w przekonaniu, że pani potrzebowała wolnych rąk, by zrobić mu coś do jedzenia. Zawiódł się jednak okrutnie.

Venda zarzuciła na plecy czerwony płaszcz z grubej wełny i westchnęła głęboko.

– Musisz poczekać – mruknęła do patrzącego na nią z wyrzutem kota. – Jak wrócę, dostaniesz kolację. Teraz muszę iść, zanim się zrobi zupełnie ciemno.

Wyszła z chaty i żwawo ruszyła ku wiosce.

Bezszelestny cień oderwał się od linii lasu i podążył za nią, niezauważony.

Idź i czekaj mrozów
Copyright © Marta Krajewska
Copyright © Wydawnictwo Inanna
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the illustrations by Bernadeta Leśniowska-Gustyn
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie drugie, Bydgoszcz 2024 r.

książka ISBN 978-83-7995-808-5

ebook ISBN 978-83-7995-809-2

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Michał Cetnarowski

Korekta: dr Marta Kładź-Kocot

Ilustracje: Bernadeta Leśniowska-Gustyn

Projekt i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Projekt okładki: Ewelina Nawara

Skład i typografia: proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-432 Bydgoszcz

sekretariat@inanna.pl

www.inanna.pl

KSIAŻKĘ I EBOOK NAJTANIEJ KUPISZ W [MADBOOKS.PL](https://madbooks.pl)

[Kup książkę](#)

WSPARCIE MEDIALNE SERII WILCZA DOLINA



SŁOWIAŃSKI
KOŚCI

AMBASADORKI WYDAWNICTWA



Kup książkę

W świecie, gdzie puszcza włada leszy,
w jeziorze żyją topielce, a nocami wśród
chat przemykają zmory i strzygonie,
młodziutka Venda musi stanąć na straży
bezpieczeństwa mieszkańców
Wilczej Doliny.

Fantastyczna seria pełna
słowiańskiego uroku!

#POLSKAFANTASTYKA
#LITERATURASŁOWIAŃSKA



[Kup książkę](#)